

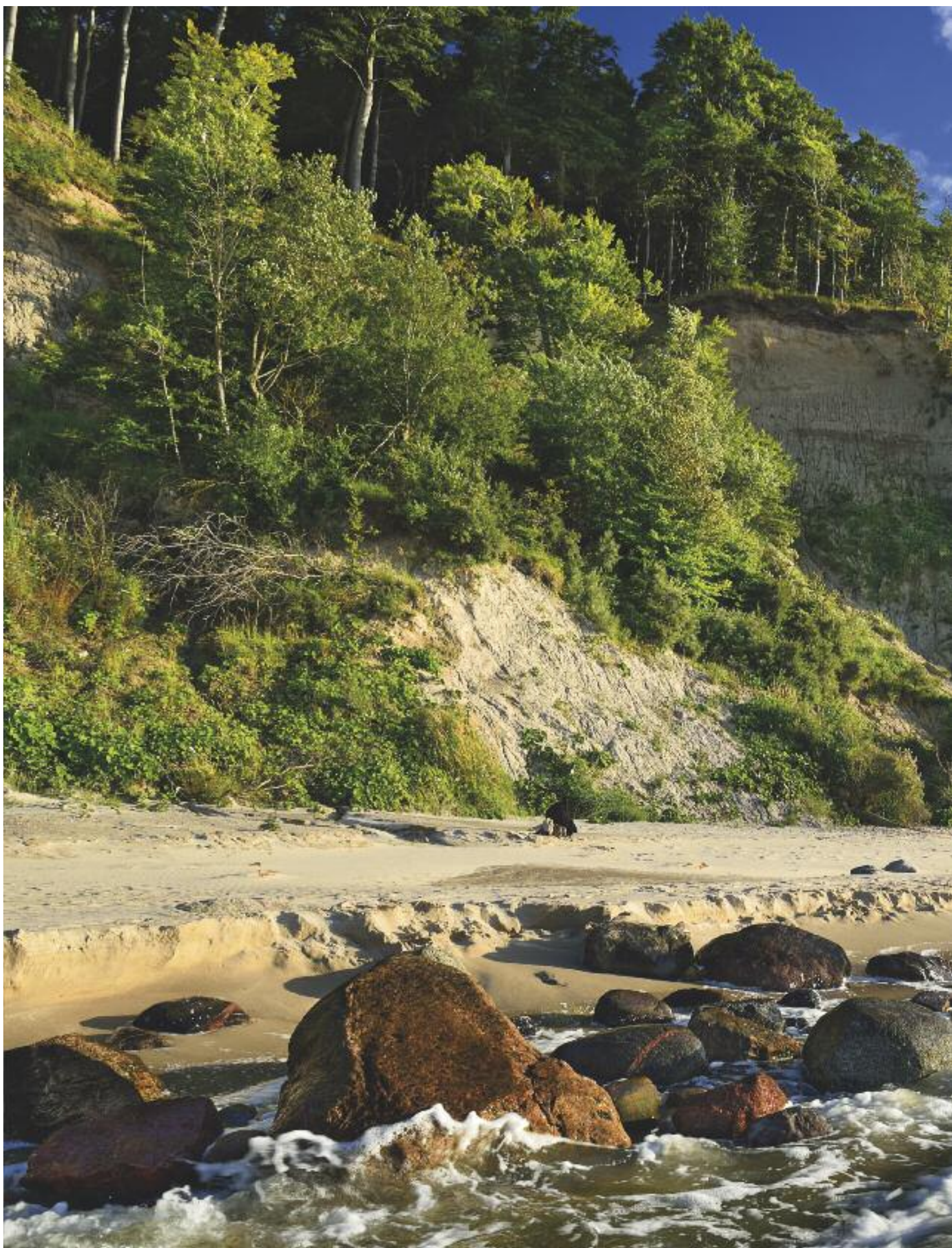


Polaká





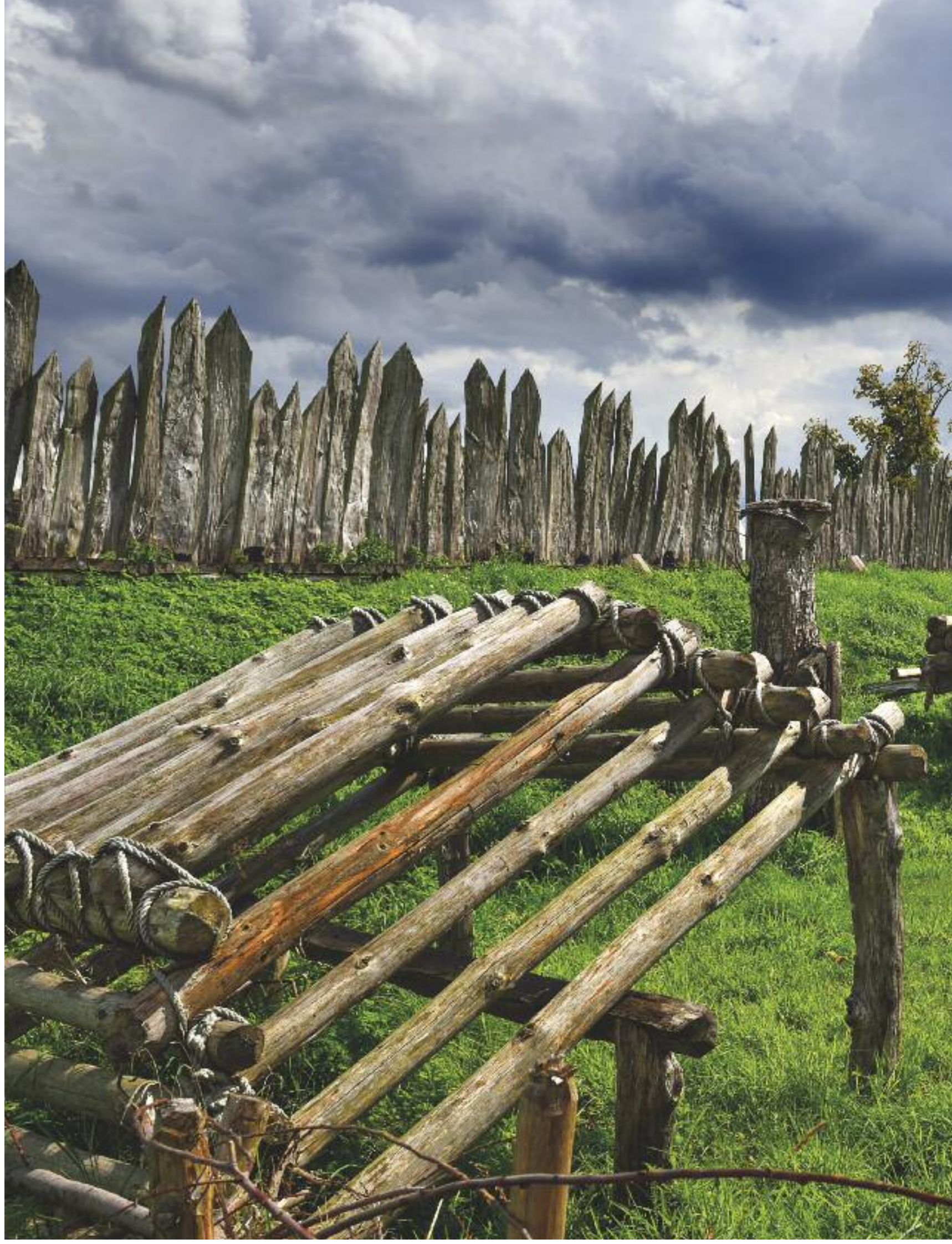


















# Państwo

Polska przez dziesięciolecia była pogodzona z tym, że się jej nie zauważa – w świecie, Europie, regionie. „W Polsce to znaczy nigdzie” – jak napisał Alfred Jarry w swojej słynnej, granej na wszystkich scenach świata sztuce *Król Ubu*. Polska jest w niej przestrzenią nieoznaczoną, nierozpoznaną, pozbawioną jakichkolwiek właściwości. „Jedyną bodaj przyczyną tego mego zaniepokojenia było, iż czułem, że należymy do Wschodu, jesteśmy wschodnią, nie zachodnią Europą – tak, ani katolicyzm, ani nasza idiosynkrazja do Rosji, ani związki naszej kultury z Rzymem, z Paryżem nie mogły nic przeciw nędzy, zżerającej nas od spodu, azjatyckiej... cała nasza kultura była kwiatem u kozucha” – a to już nasz Gombrowicz. Ciężkie, błyskotliwe, inteligentne, przejmujące, ale już chyba nieaktualne.



Bo czasy się zmieniają. Państwa krzepną lub wiotczeją, ludzie dojrzewają do roli obywateli lub pograżają się w bezczynności, bezwładzie, inercji, anarchii albo nawet, co najgorsze, łączą zadawnione kompleksy z nowymi urazami, które zdają się nie mieć końca. Przewodnic im zaczynają wtedy trybuni ludowi, domorośli liderzy, gabinetowi intryganci zaprawieni w medialnych potyczkach, komiwojażerowie klęsk, dla których inspirowane poczucie krzywdy jest pasem transmisyjnym wiozącym ich jeśli nie do realnej władzy, to do rządu dusz. Naród, który mimo głozonej mu od dwóch dekad klęski, nieustannie sączonych jadów malkontentstwa, przypominania urojonych katastrof, przetrząsanych z kretelem powstań, przegranych wojen, martyrologii, potrafi błysnąć, to naród dzielny. Nie upieram się, że wielki, lecz dzielny. Polska współczesna to dzielny kraj i najwyższy czas, byśmy przestali się godzić na to, że nie jesteśmy zauważani. W Polsce czuje się impet, energię i młodość. Od niedawna, więc tym widoczniej. Urodziło się pokolenie niestroniące od pracy, nauki, ryzyka cywilizacyjnych wyzwań, znające języki obce, świat, patrzące z ufnością – może nawet przesadną – w przyszłość. Wyróżnia się ono na tle nierzadko wycofanych, skonfundowanych kryzysem ekonomicznym, wydelikacowanych latami prosperity rówieśników ze starej części kontynentu. Europa to dostrzegła. Mam wrażenie, że najpierw z niedowierzaniem, a teraz już z nutą schlebającej nam zazdrości. Dlatego rezerwa, z jaką jesteśmy jeszcze tu i ówdzie traktowani, nie ma już nic z lekceważenia, protekcjonalizmu, dwuznacznych podejrzeń. Jest w niej respekt i ten rodzaj zaskoczenia, który nam w Europie – naszej nowej, wspólnej ojczyźnie – sprzyja. Naturalnie zależymy od Europy, ale Europa – i to jest coś zupełnie nowego – będzie coraz bardziej zależeć od nas. Dyskrecja, z jaką Polska leżała na jej rubieżach, to już przeszłość, cokolwiek niepomyślnego miałyby się zdarzyć.



A i z tymi rubieżami bez przesady. O ile pokryte niekończącymi się lasami, rzadko zaludnione ziemie między Bałtykiem na północy, Karpatami na południu, Odrą na zachodzie i Bugiem na wschodzie uznać za przestrzeń, z której wyłonił się naród, to plemiona Pomorzan, Polan, Mazowszan, Wiślan w stanie nieustannych aliansów i wojen, zbieżnych lub wykluczających się wzajemnie interesów, konszachców podszytych dobrymi i złymi zamiarami, zaczęły powoli konstituować państwo z dynastią Piastów na czele. Łatwo nie było, choć zaczęło się wręcz brawurowo od Bolesława Chrobrego budującego przez ćwierć wieku regionalne mocarstwo daleko wykraczające poza etniczne granice plemion polskich. Był władcą mężnym, porywczym, utalentowanym, charyzmatycznym; kimś, o kogo względy zabiegali europejscy władcy z najpotężniejszym z nich Ottonem III. Swoją przygodę z polityką i – nie ukrywajmy tego – tyranią Chrobry zakończył w 1025 roku, gdy koronował się na pierwszego króla Polski.





Ruiny gotyckiego kościoła w Trzemesznie





Pomnik Amora na Pegazie. Park Mikołaja Kopernika nad Fosą Miejską we Wrocławiu



Przeżywaliliśmy dobre i złe lata nieco na uboczu europejskiego średniowiecza, ale i w tych dobrych nie brakowało wojen wewnętrznych i zewnętrznych, waśni międzyplemiennych, dzikich ambicji, podstępnych sojuszków, krzywd prawdziwych i urojonych, niekończących się odwetów, niesprawiedliwych sądów z absurdalną często apoteozą stanu rycerskiego, wreszcie dramatycznego rozbicia dzielnicowego. Nie byliśmy w tym odmienni od reszty naszego kontynentu, ale wszelkie podobieństwa i różnice, czasy spokoju i konwulsji, chrześcijańskie cugle i częściej pogańskie okrucieństwo nie potrafiły zniszczyć tego konceptu, jakim było państwo jednoczące – raz lepiej, raz gorzej – środkowoeuropejskich Słowian.



Ukoronowaniem przekonania, że mimo wszystko trzeba się trzymać razem, był czas rządów Kazimierza Wielkiego, najwybitniejszego polskiego króla. Na początku XIV wieku stworzył państwo zwarte, bogacące się, bezbłędnie administrowane i jak na późnośredniowieczne standardy – sprawiedliwe. I choć w powiedzeniu, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną, jest sporo przesady, to takiego skoku cywilizacyjnego do czasów obecnych nie doświadczyliśmy. Kraków, Poznań, Sandomierz, Przemyśl, Tarnów, Kazimierz nad Wisłą, Łęczyca – to między innymi pomniki rządów Kazimierza Wielkiego i jego poprzedników.

Czasy Piastów to konkret, surowy, jednoznaczny, homogeniczny, z bardziej intuicyjnym niż wykoncypowanym imperatywem, że państwo – w nieprzewidywalnym świecie – ma być jak zaciśnięta pięść. Początek wieku XV rozpoczął wielką polską przygodę ze wschodem i niewiadomą. Królowa Jadwiga, jedyna dynastyczna córka Kazimierza Wielkiego, uznana przez kościół rzymski za świętą, wbrew swemu upodobaniu, lecz w zgodzie z racją stanu pojęła za męża księcia litewskiego Jagiełłę. Nasz alians z jego rozległym, sięgającym wybrzeży Morza Czarnego pogańskim księstwem nie ma w ostatnim czasie dobrej prasy. Renoma tego pomysłu politycznego i geopolitycznego jest na wykończeniu. Opinia, że triada trzech narodów: polskiego, litewskiego i ruskiego przesunęła nas bezsensownie na wschód, odcinając od Europy, zaczyna być coraz powszechniejsza.



Nie śpiewam w tym chórze. Nie zapisuję się do klanu malkontentów, gdyż jestem przekonany, że impulsami wizji, by na wschodzie Europy stworzyć potęgę polityczną, ekonomiczną i wojskową niemająca sobie wielu równych na reszcie kontynentu, było to, co w dziejach Polski zawsze mnie pociągało – brawura i rozmach. Czym byłyby historie narodów, gdyby źródłem ich pomysłów była wyłącznie zimna kalkulacja? Choć i kalkulacji w tym konceptcie nie brakowało; bariera, jaką stworzyliśmy przeciwko germańskiej ofensywie na wschód, okazała się wystarczająca. Staliśmy się więc państwem wschodnim. Przejęliśmy stamtąd obyczaje, organizację wojska, rynsztunek, stroje i naturę. Cieszyliśmy się bogactwem ziem, o jakie zostaliśmy powiększeni. Szlachta, żywioł z nadreprezentacją nieznaną zachodowi, pęczniała od dostatku. W miastach Korony nabierało znaczenia mieszczaństwo, włościanie znaleźli wentyl bezpieczeństwa w postaci bezludnych stepów zwanych – nie bez przyczyny – Dzikimi Polami. Gdy uznawali, że rygory pańszczyzny przekraczają miarę ich cierpliwości, wybierali ryzykowną wolność. Powstała arystokracja i ich rezydencje. Wykazaliśmy się wielkim wojennym kunsztem w niezliczonych konfliktach zbrojnych, które nas hartowały. Wmontowaliśmy w czasy tej ponadtrzystuletniej triady cały wiek XVI, zwany złotym, gdyż dobrze i pożytecznie nam się wówczas wiodło.



Tak czy owak, nim koncept Wielkiej Rzeczypospolitej Trzech Narodów nie obrócił się w swoje zaprzeczenie, nim nie zaczął padać pod razami, jakie zaczęło zadawać mu stepowe możnowładztwo, nim ambicje latyfundystów mających pod swoimi komendami nawet kilkutyśne, prywatne armie nie zaczęły kraju rozsadać, nim zadnieprzańskie i naddnieprzańskie przywiązane do swobód kozactwo nie zaczęło się Rzeczypospolitej niebezpiecznie stawiać a demokracja szlachecka z nieszczęsnym *liberum veto* nie zaczęła się degenerować, nim królewska władza stawiała się w związku z tym coraz bardziej wątpliwa – było to naprawdę piękne państwo. Czarownice palono tu umiarkowanie, kołem łamano tylko najbardziej nieprzejednanych, antysemityzm nie znajdował zwolenników, głód nękał nas rzadziej niż Europę na zachód, południe i północ od nas. Swoboda wyznań religijnych była, w zasadzie, nieograniczona i choć zdarzały się lokalne tumulty religijne, to nie było u nas nocy św. Bartłomieja, a królów nie mordowano, co w owych czasach było ewenementem.



By spróbować smaku tamtej Rzeczypospolitej – w żadnym wypadku się nim nasycić, bo to z przyczyn obiektywnych już nie jest możliwe: dwie trzecie tego państwa są poza naszymi granicami – warto zobaczyć Przemyśl, Jarosław, Sanok, Drohiczyn nad Bugiem, Białą Podlaską, Lublin, Tykocin. To miejsca, w których zostało jeszcze coś z ducha tego pomysłu. A tym, dla których liczy się również przestrzeń, światło, to rozszerzanie się świata w miarę jego pokonywania, pewien rodzaj nonszalancji związanej z nadmiarem, odpowiem, że Pierwsza Rzeczpospolita nie zawiodłaby ich w tym względzie i że ślady tego niepowtarzalnego nastroju znajdzie się w nienaruszających się, lecz egzotycznych pejzażach tak zwanej polskiej ściany wschodniej, do której w tym wstępie jeszcze wrócimy. Wiek XVIII, z różnych względów nieprzynoszący nam chwały, był też praktycznie końcem konceptu Wielkiej Rzeczypospolitej. Pełen gorszących zdarzeń, pozostawił wiele materialnych świadectw swoich ekscesów, którymi możemy się pochwalić; nie było już wprawdzie woli zachowania państwa, ale były jeszcze pieniądze. Większość pałaców, magnackich rezydencji, dworów zbudowano w XVIII wieku, a Warszawa ze stolicy, do której przekonania nie mieli nawet urzędujący w niej królowie, stała się miastem europejskim.



Utrata niepodległości, zdarzenie bez precedensu w nowożytnej Europie w odniesieniu do tak jeszcze niedawno potężnego kraju, przyniosła nam kilka nauk, z których wyróżniłbym tę o odpowiedzialności. Druga Rzeczpospolita trwała jednak za krótko, by z tej nauki skorzystać, a następne sześćdziesiąt lat ustroju podszywanego się pod socjalizm też nie dało nam takiej okazji. Skorzystała z niej dopiero „Solidarność”. Zmiana systemu mogła pójść radykalniej, krwawiej, mściwiej. Znam zdeklarowanych przeciwników „Solidarności”, którzy z jednym się jednak godzą: ten samoorganizujący się ruch społeczny z Lechem Wałęsą na czele wykazał się bezprzykładną mądrością i to określenie nie jest na wyróst, jeżeli cokolwiek wiemy o dziejach świata.



Nie wiem, czy historia jest nauczycielką życia, czasami w to wątpię, ale jeżeli jest, to nasza trwająca od dekady przynależność do najpotężniejszego organizmu kulturalnego, cywilizacyjnego i ekonomicznego świata, narzucającego w wielu dziedzinach własne standardy, jest najfortunniejszym konceptem politycznym z trzech, które przedstawiłem. Nic lepszego nie mogło nam się zdarzyć. Polska przeżywa swoje najlepsze lata.



Ale do ideału nam daleko. Nie lubimy siebie. Działamy sobie nieustannie na nerwy. Współpraca przychodzi nam z trudem. Wskaźnik zaufania do bliźnich jest cały czas na kompromitującym poziomie. Mamy niebezpieczną strukturę demograficzną. W wielu sprawach stworzone przez nas państwo paskudnie nas zawodzi. Ale jedno sobie przyznajmy – nauczyliśmy się pracować z sensem. Dwadzieścia pięć lat gospodarki rynkowej lub, jak kto woli, kapitalizmu zweryfikowało nas koncertowo. Nie da się ukryć, że sprzyjały nam okoliczności, ale też talenty, zdolność uczenia się, kreatywność, a nawet przekora. Okoliczności mają to do siebie, że nie są wieczne; lubią się zmieniać na gorsze i właśnie tego doświadczamy. Sytuacja międzynarodowa jest niepewna, a kryzys ekonomiczny nękający Europę od dekady być może dobierze się i do nas. Tym bardziej zdolność do współpracy i zgody, elementarna społeczna empatia staną się niezbędne. Wierzę, że i tego się nauczymy.





Ratusz miejski i kolegiata Najświętszej Maryi Panny Królowej Świata w Stargardzie, jeden z najcenniejszych zabytków Pomorza Zachodniego





























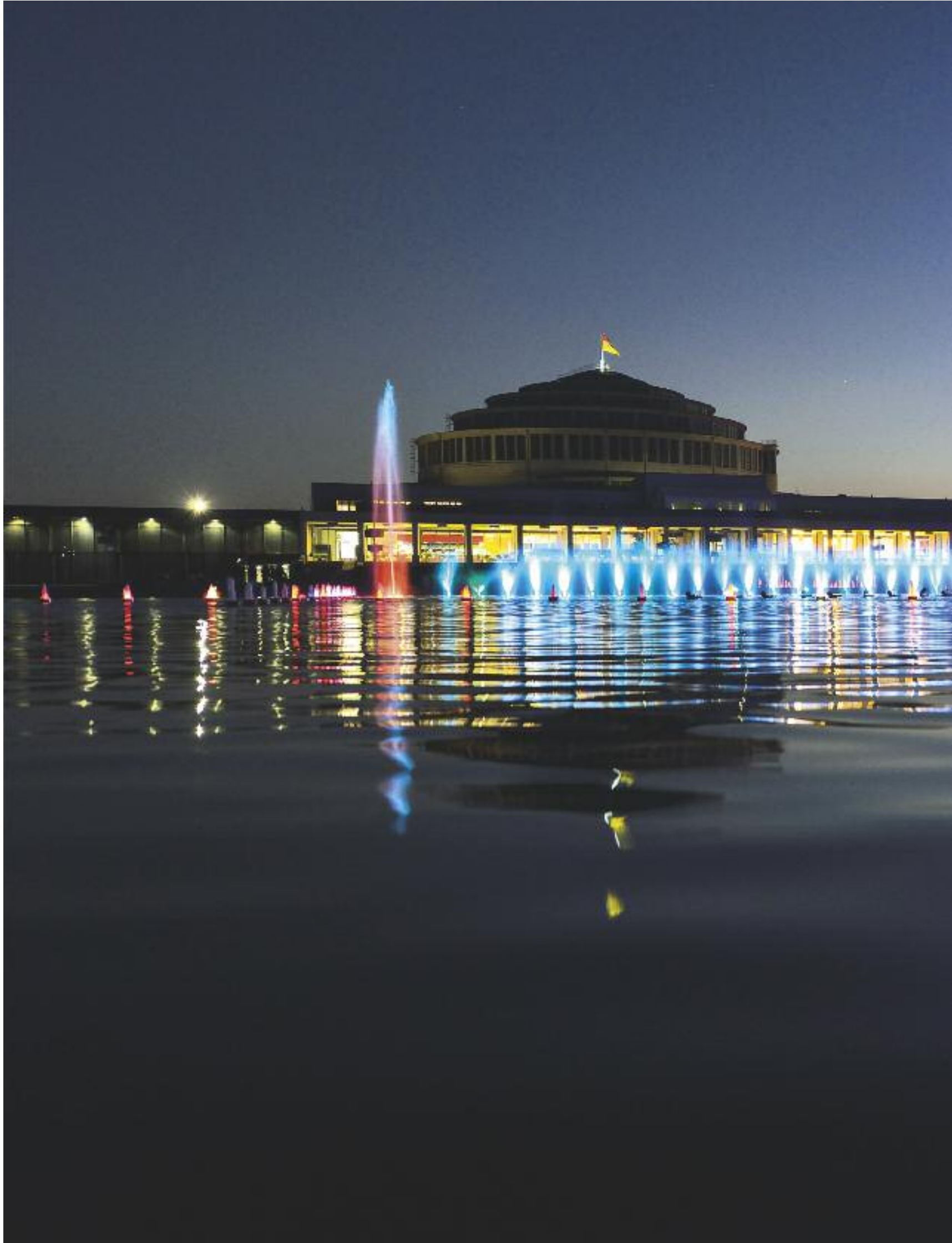
Późnogotycki budynek Starego Ratusza we Wrocławiu z Piwnicą Świdnicką, jednym z najstarszych lokali gastronomicznych w Europie





Gotycka bazylika św. Elżbiety Węgierskiej we Wrocławiu zwana Farą Elżbietańską lub kościołem garnizonowym





















Początki osady Kazimierz Dolny nad Wisłą sięgają XI wieku. Widok na rynek z kościołem farnym





Kamienica Celejowska przy ulicy Senatorskiej w Kazimierzu Dolnym, dziś siedziba Muzeum Nadwiślańskiego



